

JACEK DEHNEL

MŁODSZY KSIĘGOWY

FELIETONY O KSIĄŻKACH, CZYTANIU I PISANIU

To jest darmowy fragment zbioru felietonów.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw, co jeszcze się tam dzieje,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art

Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca

PRAWDZIWA CNOTA: KRYTYK SIĘ BOI

Kiedy miałem lat sześć, nie chciałem być strażakiem ani żołnierzem, ale gdyby mnie kto spytał, czy chciałbym zostać krytykiem literackim, to z pewnością też bym zaprotestował. Nie żebym nie cenił tej profesji – przeciwnie, cenię ją bardzo wysoko. I dlatego właśnie uważam, że nie mam do niej najmniejszych kwalifikacji. Do „Łossskotu" nająłem się jako użytkownik, a nie krytyk kultury, i tak samo przyjmując rubrykę w Wirtualnej Polsce, widzę siebie nie jako krytyka, ale czytelnika, który chce się od czasu do czasu podzielić kilkoma nieprofesjonalnymi uwagami o książkach, które przeczytał.

Zdrowy rozsądek podpowiada, że poeci i prozaicy nie powinni brać się do krytyki literackiej, podobnie jak malarze nie powinni się parać krytyką artystyczną, a muzycy – muzyczną. Choćby dlatego, że środowisko artystów, bez względu na uprawianą sztukę, składa się w sporej części z ludzi niebywale ambitnych, łaknących sławy, nadwrażliwych, obrażających się łatwo o każdą recenzję, która nie jest hymnem pochwalnym, a do tego połączonych w rozmaite jawne i niejawne związki, koterie, stronnictwa, grupy wsparcia. Dlatego artysta-krytyk w ciągu dwóch sezonów straci prawie wszystkich znajomych, narobi sobie zaciekłych wrogów i zaprzepaści wszelkie szanse na serdeczny odbiór dzieł własnych przez środowisko w następnych dwóch czy trzech dziesięcioleciach.

Urażony twórca jest jak zraniony słoń: dekadę będzie cierpiał w milczeniu, co najwyżej wyżali się kumplom po piórze nad piwem w czasie jakiegoś pisarskiego festiwalu – ale przyjdzie ten czas, oj, przyjdzie, kiedy będzie miał okazję odkuć się na przeciwniku... i oj, odkuje się!

Stąd te wieloletnie vendetty, zwarcia całych stronnictw, prawdziwe literackie ustawki na łamach pism; redaktor Pytlasiński zjedża doktorowi Pituszkiewiczowi jego powieść w „Pypciu Prozy", w następnym miesiącu w dziale recenzji „Pępucha Ducha" dr Pituszkiewicz wykpiwa eseje red. Pytlasińskiego. Albo subtelniej: Pytlasiński zjeżdża wiersze Aldony Pipkiewicz, o której wszyscy wiedzą, że jest kochanką Pituszkiewicza, za co Pituszkiewicz namawia Gerwazego Pupawę, żeby objechał *Pikne poszwędy* Stasia Polipa, lansowanego umiejętnie przez Pytlasińskiego.

Z drugiej jednak strony trzeba przyznać z niejakim wstydem, że przemieszanie środowiska pisarzy, krytyków i akademików jest odwieczne i właściwie nieuniknione. Po pierwsze: trudno zabronić poetom publikowania recenzji, a krytykom i doktorom polonistyki – pisania wierszy czy opowiadań, a wielu ma po temu inklinacje. Po drugie: mało kto zna się na literaturze tak dobrze, jak część wspólna tych trzech zbiorów, czyli piszący wykładowcy parający się krytyką literacką. I po trzecie wreszcie: obok krytyków, którzy zarzucili własną twórczość, mamy również znakomite przykłady poetów i prozaików piszących wspaniałe recenzje, studia, eseje krytyczne. Nic w tym dziwnego – z krytykami jest jak z szewcami, architektami czy mechanikami samochodowymi: zdarzają się i wybitni, i fatalni, a między nimi cały wachlarz średniaków. Czytelnik recenzji staje więc przed takim samym wyborem jak wtedy, kiedy kupuje warzywa czy wędliny – patrzy, kto jest uczciwy i wystawia dobry towar, a kto kantuje. W sklepiku naprzeciwko weźmie szynkę, bo świeża, i gruszki, bo prosto z drzewa, a w sklepiku na rogu za żadne

skarby nie tknie niczego, bo albo zjełczałe, albo zsiadłe, albo zgliwiałe, albo transgeniczne.

Problem tyleż większy, że sklepy są przynajmniej sprawdzane, istnieją jakieś tam urzędy konsumenckie i inspekcje pracy. A krytykiem, podobnie jak poetą, może zostać każdy – opublikuje w niskonakładowym piśmie recenzję, i już wpisuje do CV „krytyk literacki". I ktoś mu coś zrobi? Nikt. Całkowita bezkarność, zero strachu – no chyba, że chodzi o strach środowiskowy. Że jak on Pituszkiewiczowi, to Pytlasiński... wiadomo. Więc dla świętego spokoju zawsze wyważy: trochę posłodzi, trochę nosem pokręci, a najchętniej zejdzie w rejony nieocenne: streści książkę, użyje przymiotników: „interesujące", „śmiałe", „kontrowersyjne", a także zwrotów: „może się niektórym podobać" i „może się niektórym nie podobać". Mięciutko i nijako.

Co innego krytyk z prawdziwego zdarzenia, ten boi się co rusz, jak to człowiek odpowiedzialny. Krytyk prawdziwy czyta wszystko, co wyszło, wychodzi i wyjdzie w obiegu głównym, podziemnym i offowym. Pewna internautka napisała mi kiedyś, że współczuje Panu Bogu, który musi czytać wszystko, co jest publikowane – cóż, przynajmniej jeśli chodzi o literaturę polską, to z pewnością wyręcza go w tym Karol Maliszewski (nieprzypadkowo piszący teksty w cyklu „Maszyna do czytania"). Ale i tak kanon literatury polskiej, europejskiej i światowej jest w zasadzie nie do ogarnięcia w czasie jednego czytelniczego życia, a co dopiero pobocza i bezdroża literatury, trzeciorzędne tomiki wydawane nakładem, powiedzmy, Zakładu Inseminacji w Starej Miłosnej. Boi się zatem krytyk, że coś pominął. Kontekst jakiś, ułomek. Boi się, że przegapił perłę, co to wyszła w dwudziestu egzemplarzach na ksero w Mońkach. Albo w domu kultury na Bemowie. Boi się, że strzegąc niezawisłości sądów, tak bardzo będzie się starał nie pochwalić książki znajomego, że mu tę książkę przesadnie zjedzie; za to z tych samych powodów zbytnio

pochwali tomik napisany przez kogoś, do kogo czuje osobistą antypatię. Boi się, że jeśli poleci czytelnikom powieść debiutanta Pipkiewicza, to Pipkiewicz następną powieść napisze byle jaką, a szkoda by było; jeśli zgani – to Pipkiewicz zarzuci pisanie, a szkoda by było. Też. Bo wokoło, wiadomo, łaknący sławy artyści, z wielkimi ambicjami, a wszyscy, co do jednego – nadwrażliwi.

Nie to co czytelnik. Czytelnik sobie czyta książkę powoli, nieprofesjonalnie, bez goniących terminów. Nie musi znać dzieł wszystkich Turgieniewa, Balzaka i Pereca, żeby powiedzieć coś o właśnie przeczytanej powieści. Może użyć słów ostrych i gwałtownych, zarówno w pochwałach, jak i w przyganach. Może wreszcie, jeśli mu przyjdzie ochota, odłożyć książkę na bok w połowie i pójść na spacer. Dlatego też, jako człowiek leniwy, skłonny do wygodnictwa i szanujący krytykę literacką, będę dla państwa pisał nie jako krytyk, ale jako czytelnik, amen.

WP 2007

SPOD LADY

Pisarze to podsłuchiwacze i podglądacze, w ogóle – świnie: uszu nadstawiają, zaglądają gdzie nie trzeba, przetrząsają cudze szuflady i twarde dyski – wszystko po to, żeby dowiedzieć się, co człowiek ma w środku. Bo to, co człowiek ma w środku, jest głównym tematem literatury.

Do moich ulubionych, wstydliwych nieco przyjemności należy przeglądanie list zakupów na Allegro – wchodzi się na stronę jakiegoś przedmiotu, najlepiej wystawionego w więcej niż dziesięciu egzemplarzach, i sprawdza się, kto taki go kupił. I co jeszcze kupował? W jakie wzory to się układa, w jakie prawidłowości? Jakie historie można odczytać z katalogu rzeczy kupionych przez jedną osobę?

Scyzoryk. Do tego nóż. Do tego bielizna termoaktywna. I dwie gry komputerowe: Fifa i Battlefield. Sportsmen, być może zapalony wędkarz – a do tego lubi pot i krew na swoim małym ekraniku. Albo: depilator do nosa i uszu, drążek do podciągania się, pasek do gitary. Pięknić robi się na bóstwo, mariachi. Ale już ten sam depilator połączony z prostownikiem do akumulatorów, męską wodą toaletową Oriflame i szkatułką na biżuterię? O zagadko! O rozmaitości!

Najciekawsze – chciałem napisać „najzabawniejsze", ale czasem znacznie właściwszy byłby przymiotnik „najstraszniejsze" – były takie poszukiwania w dziale „Erotyka". Niestety, nie sposób oddawać się tej pouczającej rozrywce, odkąd Allegro utajniło nicki w swoim wstydliwym „Piekiełku" (że posłużę się nazwą sekretnego działu Biblioteki Narodowej w Paryżu).

Wibrator. Sześć sąsiednich aukcji: odzież dla puszystej, krem wyszczuplający, wyszczuplająca herbatka. Albo wibrator, a wcześniej kolejno: klatka dla kanarka, karuzela do biegania dla chomika, koszyk dla psa, kojec dla dziecka. Albo: „ciasna jak osiemnastka" (przyrząd do masturbacji przypominający puszkę piwa) i osiem aukcji z częściami komputerowymi i grami oraz płyn na trądzik. Nerd jak nic.

Oczywiście, niczego nie da się powiedzieć o tych klientach naprawdę. W wyobraźni czytelnika (bo portal aukcyjny to też tekst, jak cały internet) są złożeni wyłącznie z gdybań i poszlak. Teoretycznie nerd mógł kupować „śmieszny prezent" dla kolegi na osiemnastkę, a pani od ubrań dla puszystych może być szupła jak patyczak i rozmiary XXXL kupować mamusi. Ale, chcąc nie chcąc, te sekwencje przedmiotów skłaniają do spekulacji.

Komuś pewnie wyda się, że piszę o „świństwach" i że to znak strasznych czasów, bo „kiedyś to, panie, tego nie było". Otóż, i do tego zmierzam – było.

Wibrator to piąte (po maszynie do szycia, wiatraku, czajniku i tosterze) zelektryfikowane urządzenie domowe i do lat dwudziestych XX wieku sprzedawano go zupełnie jawnie, jak pozostałe urządzenia służące zdrowiu, dobremu samopoczuciu i higienie. Wibratorami bowiem leczono „kobiecą histerię" – przed ich wynalezieniem lekarze doprowadzali pacjentki do orgazmu, wykonując zabiegi „stymulacji krocza" ręcznie; uskarżali się zresztą, że zabiegi owe są męczące i czasochłonne. Odrzucali jednocześnie myśl, by było to w jakikolwiek sposób związane z seksem. Chodziło o terapię rozładowującą napięcie. W tym samym czasie masturbowanie się przez mężczyzn, zwłaszcza przez chłopców, uważano za niszczący nałóg, prowadzący do całkowitego zwyrodnienia ciała i – w wypadkach skrajnych – do śmierci.

W opasłym katalogu sprzedaży wysyłkowej domu handlowego Searsa&Roebucka, o którym pisałem kiedyś, można było

znaleźć *Przyjemny, niewielki wibrator przenośny z trzema końcówkami, widocznymi na ilustracji. Miły w użyciu i przydatny w gospodarstwie domowym. Waga przesyłki ok. 3,5 funta, cena $5,95.* A także, co ciekawe, krem i pompkę do powiększania biustu Princess. Pompki do powiększania penisów – już nie, ale wynaleziono ją mniej więcej w tym samym okresie, na przełomie XIX i XX wieku, a opatentował ją Bernarr Macfadden, specjalista od zdrowego żywienia i tężyzny fizycznej, założyciel pism kulturystycznych i religii zwanej kosmotarianizmem, łączącej Biblię i kult ciała.

O wszystkim tym piszę z powodu pewnego kuriozum, które niedawno trafiło mi w ręce, publikacji znacznie skromniejszej niż katalog Searsa i Roebucka. *Specjalny cennik paryskich, amerykańskich i niemieckich gumowych i innych hygienicznych środków ochronnych dla mężczyzn i kobiet* sklepu Juliana Drehera to cieniutka, szesnastostronicowa ledwie broszurka. Ale ile w niej ciekawostek!

Sklep mieścił się w Warszawie, na ul. Szpitalnej pod numerem 6 w niskim, piętrowym budyneczku – jedynym z całej pierzei, ciągnącej się od Chmielnej do Górskiego, który nie dotrwał do dzisiaj (zachowały się tylko oficyny). Wciśnięty pomiędzy monumentalny Dom Wedlów a równie potężną modernistyczną kamienicę, sprawiał wrażenie raczej mizerne. Dreher był chyba jednak człowiekiem nowoczesnym, działającym z rozmachem: nie tylko wysyłał zarówno do *Europejskiej*, jak i *Azjatyckiej Rosji* (przy obstalunku od – odpowiednio – 3 i 7 rubli wzwyż, brał koszty wysyłki na siebie), ale też zainstalował telefon (nr 704). Na brak klientów raczej nie narzekał, przetrwał zarówno odzyskanie niepodległości (dla wielu firm produkujących w Warszawie na potrzeby całego cesarstwa rosyjskiego był to poważny cios – branża platerowa i brązownicza prawie się od niego załamała), jak i Wielki Kryzys. W 1930 roku prowadził zakład optyczny na

Nowogrodzkiej 21 (tel. 4371), ale przed samą wojną wiodło mu się całkiem przyzwoicie, skoro według książki telefonicznej Warszawy z 1939 roku Julian Dreher prowadził *zakł. optyczno-chirurg.-ortopedyczny i pracownię gorsetów* (tel. 67865) na Marszałkowskiej 140, w pięciopiętrowej (nadbudowanej w międzywojniu o dwa piętra) kamienicy między Rysią a Świętokrzyską (druga fasada wychodziła na Szkolną), w jednym z najlepszych punktów Warszawy: nieopodal mieścił się dom mody Hersego, Hotel Francuski i redakcja „Kuriera Porannego". Różnica między pięciocyfrowym numerem telefonu z 1939 roku a trzycyfrowym z początku wieku (broszurki nie opatrzono żadną datą, ale z pewnością pochodzi jeszcze z czasów zaborów, może z 1905, może z 1910 roku – wszystkie ceny podano w rublach i kopiejkach) też sporo mówi o przemianach zachodzących podówczas w stolicy.

Stosunkowo najbanalniejszy asortyment zepchnięto na koniec i potraktowano po macoszemu: lunety, lornetki, barometry, aparaty fotograficzne, latarnie magiczne, rajscajgi (czymkolwiek one były) wymieniono tylko dla porządku. Wyeksponowano natomiast to, co spodziewalibyśmy się znaleźć ukryte gdzieś wstydliwie w środku: „Dział I. Środki ochronne hygieniczne dla mężczyzn" i „Dział II. (dla Pań)". I oba te działy robią wrażenie.

Nie chodzi już nawet o to, że sklep Drehera na Szpitalnej 6 sprzedawał prezerwatywy czy dmuchane piersi – ale o to, jak je opisywano. Właściciel wprawdzie na wstępie dowodzi, że kieruje się zasadą *Co najlepsze, to jest najtańsze*, ale wystarczy przyjrzeć się uważnie opisom, by wywnioskować, że to tylko chwytliwy slogan. Owszem, można wprawdzie kupić *prezerwatywy gumowe, zwane też kondonami* (sic!) po 75 kopiejek za tuzin (*zwyczajne, cienkie i małe*), ale czytamy od razu, że są *małe dla normalnego mężczyzny* – kto zatem chciałby je kupić, czytamy między wierszami, musi od razu powątpiewać w normalność swojej męskości. Niepokoi też fragment, w którym Dreher wyjaśnia sposób użycia:

prezerwatywę należy zwinąć, a następnie *włożyć na odpowiednią część ciała.* Czyżby sugerował, że część ciała może być nieodpowiednia? Na szczęście dwukrotnie droższe (1 rb. 50 kop.), *dobre, z białej gumy, bardzo mocne*, są zaopatrzone w *dobrze zamykający się brzeg, a przeto bardzo mogą być zalecone.* Model Prima, jak zapewnia broszura, *jest nie do zdarcia i szczególnie nadaje się do wielokrotnego użycia*, ale to już wydatek rzędu 4 rubli. Osobno reklamowane są prezerwatywy z *rezerwuarem woreczkowym* o skądinąd rozczulającej (bo podświadomie wskazującej na kompleksy klientów) nazwie *Victoria* – przy czym, należy dodać, że tańsze są białe, czerwone – droższe, najdroższe zaś (8 rubli za tuzin) *z ostrogą*, co każe nam sądzić, że klientela warszawska nie była aż tak pruderyjna. Ba, była również z pewnością modna, skoro kupowała również nowość: *prezerwatywy drażniące* – uwaga – *secesyjne, zaopatrzone w gumowe pierścienie i kolce drażniące.* Najdroższe były *Victorie bez rezerwuaru, z ostrogą secesyjną.* 12 rubli, piętnastokrotnie kosztowniejsze niż te *zwyczajne, cienkie i małe*, które, jak wiemy, nie nadawały się dla *normalnego mężczyzny.*

Ale to nie koniec. W luksusowej, pachnącej Zachodem ofercie sklepu (wyroby były po pierwsze *paryskie*, a zatem kojarzące się z miłością, wyuzdaniem, rozkoszą, *amerykańskie,* a zatem dziko nowoczesne, i *niemieckie,* a zatem solidnie wykonane – nie zaś rosyjskie czy, z oczywistych względów, cenzura szaleje, polskie), mamy jeszcze amerykańskie prezerwatywy *jedwabne* (chodzi chyba o cienkość, ponieważ *wykonane są z najczystszej gumy naturalnej i przez nowe doświadczenia bez szwu można ich* (sic!) *robić, wskutek czego rozdarcie albo dziury zupełnie są wyłączone*). Składane *tuzinami w kartonie i każda sztuka oraz karton opatrzony jest w amerykańską markę fabryczną.* Żadne miejscowe podróby, proszę państwa. *Daleko cieńsze w swym składzie, a przeto niedostrzegalne w użyciu, są w użyciu najprzyjemniejsze i najtrwalsze.* Nazwy: Neveripp (po naszemu brzmiałoby to chyba

Niezdartuchy), Mikado (lepszy byłby chyba Sultan?) i Imperial Brandt (to już chyba błąd Drehera, bo mu się angielskie Brand pomyliło ze swojskim malarzem batalistą). Ale Krokodylowe? To przerasta najśmielsze moje wyobrażenia i wszystkie dzisiejsze *cyberskóry*. Czemu się jednak dziwić, skoro nieco dalej sklep poleca *prezerwatywy z rybiego pęcherza?* Oczywiście w najlepszym gatunku: *wyjęte są z ryb wyborowych, po jednej sztuce, z łososi i innych ryb szlachetnych.* Słusznie – kto chciałby stosować prezerwatywę z jakiegoś plebejskiego śledzia czy makreli, że o uwłaczającej rozmiarowo szprotce nie wspomnę? I znów nazwy : Perfect (reklamowy standard), Sans rival (ciekawe i, jeśli rozumieć dwojako, niepokojące) oraz *Non plus ultra*. O przygody cytatów biblijnych (i to z Księgi Hioba...)!

Dla najwybredniejszych są atrakcje najdziksze: *prezerwatywy gumowe w lepszych gatunkach w opakowaniu fantazyjnem.* A to: *W papierośnicach kartonowych w form. album. z napis. „Klasyczna niezapominajka"; W pudełku z oprawą niklową; W papierośnicy ze skóry czerwonej* i *W pudełku z imitowanej kości słoniowej z zasówką* (sic!). *Oprócz tego opakowanie może być w formie owoców, kwiatów, bombonierek itp., itp.* Podwójne „itp." prowadzi moją wyobraźnię na dalekie manowce. Idźmy jednak dalej przez sklep Drehera.

Obok niezbyt atrakcyjnie opisanych *prezerwatyw dla Pań wynalazku D-ra Earleta* (uwagę zwraca tylko zapewnienie, że są *stanowczo nieszkodliwe*, oraz dopisek, że przy zamawianiu *trzeba wymienić ilość porodów, ażeby wysłać odpowiedni numer*) i *Paryskich gąbek ochronnych (Safety sponges)* z siatką i bez siatki (nazwy: Union, Victoria, Globus – nie hystericus chyba?), wzierników macicznych i Przepasek Diana trafiamy na dwie ciekawostki. Po pierwsze tajemnicze Ostrogi (Łechtaczki) gumowe pojedyncze i podwójne, w tym model *na palec* – może służyły własnoręcznemu wykonywaniu zabiegów, na których czasochłonność skarżyli się lekarze przed wynalezieniem elektrycznych wibratorów? Po drugie: *Piersi gumowe damskie* (drugi przymiotnik

zdaje się sugerować, że były jeszcze *piersi gumowe męskie*, ale to raczej niemożliwe; choć, z drugiej strony, skoro w sprzedaży były prezerwatywy krokodylowe...? Mniejsza o to). Piersi *z patentowanej gumy, które gdy się nadmucha, nie odróżniają się od naturalnych piersi*, na ilustracji wyglądają dość przerażająco, jak napierśniki walkirii, z pompką dochodzącą do mostka i małymi sutkami, przypominającymi nieco źrenice sowy. Za 7 rubli i 50 kopiejek można było kupić *większe, cieliste, artystycznie wykończone*; *średnie* kosztowały 4 ruble i najwyraźniej wykończone były niezbyt artystycznie. Najtańsze były *małe, z czarnej patentowanej gumy* – to „czarnej" niepokoi tu najbardziej. Jakże to – czarne, a mimo to *nie odróżniają się od naturalnych piersi*? Oczywiście, dekolt był wtedy nie do pomyślenia, kobiety zapięte były pod samą szyję. Jeśli piersi *nie odróżniały się,* to wyłącznie kształtem, a nie kolorem. Ledwie 3 ruble *za parę.* Czy można było kupić pierś pojedynczą? Tego cennik nie zdradza.

Kiedy czytam na internetowych forach pomstowanie na „te paskudztwa, które sprzedaje się na Allegro", te „odrażające sex-shopy przy samej Marszałkowskiej", przypominam sobie poczciwego Juliana Drehera i jego sklepy na Szpitalnej 6, a potem na Marszałkowskiej 140, w których już sto lat temu sprzedawano *prezerwatywy drażniące secesyjne zaopatrzone w kolce drażniące.* I *łechtaczki podwójne na palec.*

WP 2010

KICZ W WEIMARZE

Kiedy profesor R. dowiedział się, że jadę do Weimaru, powiedział: „O, Weimar, świetnie, jak Kraków, same kościoły i burdele!". Co do burdeli, nie wiem, kościoły znalazłem trzy: katolicki i dwa protestanckie, plus kaplica na zamku, więc Weimar przy Krakowie może się schować. Wszędzie natomiast Schiller i Goethe, Goethe i Schiller, w nieskończonych odsłonach, coraz bardziej kiczowatych i odpustowych, a że człowiekowi jakoś się udziela poetyckość i odpustowość, zaczyna bezwiednie układać głupawe wierszyki, np.: „Weimar. Goethe. Schiller Goethe. Pisarz musi wypić setę" albo, przed słynnym podwójnym pomnikiem: „Weimar. Pomnik. Schiller z Goethem. Goethe z prawej, ten? Nie, nie ten".

Ale też imponująca jest ta bliskość, namacalność ich tutejszego życia (co każe myśleć o naszych romantykach, których zostaliśmy pozbawieni: nowogródzka strona, wileński uniwersytet leżą nie tylko za granicą, ale w ogóle w jakiejś innej rzeczywistości; można odwiedzić, ale to nie to samo). Wszystko jak na dłoni. „Tu Fryderyk Schiller mieszkał dłuższą chwilę, a tam swoją metę miał J. Wolfgang Goethe". Gdzie się zwrócić, tam handel czyni sobie z nich użytek; galeria handlowa z podpisem Goethego na fasadzie, obok w herbaciarni konfitury w słoiczkach z wizerunkami weimarskich sawantek. Pocztówki, gadżety, suweniry idą w tony i miriady; nie ma dóbr, których nie próbowano by opchnąć z pomocą klasycystów, i jeśli jest tu rzeczywiście tyle burdeli, to z pewnością choćby jeden z nich musi się nazywać „Pod Goethem", a drugi „Pod Schillerem".

A nie jest to kicz wyłącznie obecny. Przy domu Schillera wielka wystawa o tym, jak mieszkali, kolekcjonowali i pisali weimarscy klasycyści: obok pęczka piór, próbek listów, kaset na medale są i sentymentalne drobiazgi, jak wymyślone przez jakąś klasycystyczną „żonę modną" cukrowe opłatki w formie barwnych gemm antycznych, tak że – jak donosił pewien rozbawiony współczesny – w ciągu jednych zalotów można zgłębić całą grecką mitologię. Już wtedy rosło uwielbienie nie tylko wszystkiego, co klasyczne, ale też samych wielbiących klasyczność weimarskich gigantów.

Wszystko zaczęło się od tego, że osiemnastoletni książę Karol August odziedziczył państewko w fatalnym stanie: zadłużone przez rozrzutnego dziadka i z dopiero co spalonym pałacem. Zaczął więc, z braku laku, sprowadzać na swój dwór nie wspaniałe dzieła sztuki, na które go nie było stać, ale wspaniałe umysły. Miał już za guwernera Wielanda, ale ruszyło się od Goethego – po nim był i Schiller, i Herder, do nich zaś lgnęli kolejni, pomniejsi. W pewnym momencie, co jest marzeniem każdego zbieracza, właściwie sami zaczęli się kolekcjonować. Salony (księżnej wdowy, Johanny Schopenhauer i innych dam) rosły jak na drożdżach, a skoro tak wielu geniuszy zeszło się w jednym miejscu, epoka zaś była skłonna do porywów serca i sentymentów, to zaczął się ten groteskowy kult. W jedną stronę szły autografy, pukle włosów, rękopisy, w drugą – dowody uwielbienia: listy, hołdy, podarki, książki, eksponaty do Goethowskiej kolekcji wszystkiego (aż po gigantyczne popiersia włącznie). Do dekoracji książęcej biblioteki zamawiano rzeźbione i malowane portrety kolejnych luminarzy, toteż kiedy szli tam pożyczyć coś, czego brakowało im we własnym księgozbiorze (a wiadomo, że robili to często), wkraczali do panteonu, w którym zostali umieszczeni już za życia. A skoro były popiersia wielkie, to i małe, na biurko, to i pamiątkowe przyciski do papieru, to rosnąca próżność. Kiedy matka Goethego likwidowała mieszkanie po jego

dziadkach, zapytała, czy nie chciałby czegoś ze „starych gratów"; wziął, poza paroma drobiazgami, dwa duże lustra – i jest to w tych warunkach całkowicie zrozumiałe.

Dwa domy pisarzy, stojące niedaleko od siebie (plus Centrum Herdera tworzone właśnie w jego dawnej plebanii) – gdyby nie ukazy cara i późniejsze zmiany granic, mielibyśmy i w Wilnie takie w pełni umeblowane pokoje, w których nasi romantycy przeżyliby całe życie, zamiast szlajać się do Paryża i dalej. Rezydencja Goethego to udekorowany kiczowatą gipsową rzymskością dom starego Fausta, z pokojami wymalowanymi zgodnie z teorią barw, z szafami pełnymi kolekcji; dom starca, któremu zmarli żona i ukochany syn, i który niezmordowanie wstaje co rano i dyktuje sekretarzowi kolejne książki, z jakich wznosi swój piedestał („Portret, a na nim stareńki Goethe, smutny jak basset, dumny jak seter"). Nieopodal przyjemna, rodzinna willa Schillera, gdzie mamusia wychowuje gromadkę dzieci (niedawno za wbudowaną szafą odnaleziono szafeczkę z ich zabawkami i niezdarnym portrecikiem wujka Goethego), a tatuś w pocie czoła pisze jedną tragedię rocznie, żeby nastarczyć na utrzymanie domostwa, urządzonego w stylu niemieckiej *Gemütlichkeit* („Zdolny Friedrich, lecz, niestety, dobrał bardzo źle tapety"). I tu, i tam można zobaczyć miejsca „uświęcone śmiercią": fotel, w którym padły legendarne słowa „Więcej światła", i łóżko, w którym skonał Schiller (aczkolwiek jego oryginalność jest wątpliwa, podobnie zresztą jak słów Goethego; potrzeba okołogeniuszowego kiczu generuje bowiem i meble, i cytaty).

Dopiero na najwyższym piętrze, w pokoikach na mansardzie, z wąskim łóżkiem, banalnym barometrem i straszliwą, acz sumiennie zrekonstruowaną tapetą, można dowiedzieć się o wojennych losach muzeum. Kiedy alianci zaczęli nękać III Rzeszę nalotami, postanowiono wywieźć meble z domu Schillera i ukryć je w bezpiecznym miejscu. Naziści nie chcieli jednak muzeum zamykać, kazali więc wykonać repliki mebli. I zostały

one wykonane z pewnością znakomicie – pod samym Weimarem był bowiem Buchenwald, a tam dowolna liczba zdolnych stolarzy. Tak to więźniowie Buchenwaldu zmontowali biurko, łóżko i barometr Schillera. Jak można to opisać, nie popadając w kicz gorszy niż wszystkie suweniry Weimaru? Szukam więc w necie jakichś informacji o meblach i trafiam na relację z wyzwolenia obozu, spisaną przez dziewiętnastoletniego Amerykanina niemieckiego pochodzenia. Wpada mi w oko jego nazwisko: Herder.

POLITYKA 2012

MIESZCZAŃSKI KREDENS

– Bądź mężczyzną, Michale.
– Nie chcę, nie chcę – wołał psotnie Michał.
Fioletowe [wróżki] są chłopcami, białe dziewczynkami,
a niebieskie to są po prostu takie głuptaski,
które nie są pewne, czym są.
J.M. Barrie

Ruja i porubstwo serwowane niemowlętom: antychryst Biedroń wydał w Polsce książeczkę dla dzieci o dwóch samcach pingwinów, wychowujących razem pingwiniątko. Mężczyźni klną, kobiety mdleją, a dzieci wieją w popłochu i zamykają się w kojcach na kłódkę. Sprawdziły się najgorsze przewidywania Sybilli z Pcimia: geje sączą dzieciom straszliwą truciznę, słońce zmieni się w wór ciemny.

I niech tak będzie; kto jest zakamieniałym homofobem, ten książeczki o pingwinach dziecku nie kupi, a już nie te czasy, żeby jakiś stupaja wysłał cały nakład na przemiał. Ale od razu przypomina mi się wierszyk Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej o mieszczańskim kredensie, gdzie po długim wyliczeniu zepsutych mięsiw pada pointa: *Lecz ręce matki / Ręce tak czyste / Kładą je ufnie / W szkolny tornister*. Bowiem rzekoma „trucizna" nie jest niczym nowym i należy powiedzieć strasznym mieszczanom w strasznych mieszkaniach, że sami wychowali się na gejowskiej książce dla dzieci. Została wydana niemal sto lat temu, w roku 1911, a nosi tytuł *Piotruś Pan*.

Nie będę się tu skupiał na samym Barriem i jego dziwnych relacjach z chłopcami z rodziny Llewelyn-Davies, o tym, że sfałszował testament ich matki, by przejąć nad nimi opiekę, że dwaj z nich popełnili samobójstwo, w tym jeden z przyjacielem

ze szkoły, a najpewniej – kochankiem; wszystko to znakomicie zrobił Fresán w znakomitych *Ogrodach Kensington*. Wystarczy uważnie przeczytać *Piotrusia Pana*.

Akcja toczy się na *rozkosznej wyspie*, do której nie można dotrzeć, trzeba być przez nią wybranym, bo to wyspa szuka poszukiwaczy. Wokół wyspy skrada się Piotruś, za nim chłopcy, za chłopcami piraci, za piratami Indianie. Sami mężczyźni, bo to świat męsko-męskich fantazji. Kobiety? Prawdziwe kobiety, jak Dzwoneczek, *nienawidzą dziką nienawiścią*, przynoszą pecha na pokładzie statku, kłócą się ze sobą, są zazdrosne, śmieszne w swojej walce o niedbających o nie mężczyzn. Nadają się – jak Wendy – tylko do jednego: na przybraną matkę. Są bowiem nie piękne, nie kuszące, ale *pożyteczne.* Owszem, mamy jeszcze Syreny, tajemnicze w swoich obcych zabawach, i przewodzącą Indianom Tygrysią Lilię, której pragną wszyscy wojownicy, ale ona odpędza ich od siebie. Żadnych romantyzmów między płciami.

Można naiwnie powiedzieć, że między Wendy a Piotrusiem brak pożądania, bo to książka dla dzieci. Ale Wendy już na początku zupełnie jawnie domaga się od Piotrusia pocałunku – i dostaje w zamian naparstek. Namiastkę, żart. Bliskość cielesna między nimi jest niemożliwa, ba, chłopiec nie pamięta nawet jej imienia. Dzwoneczek też zresztą dostaje kosza: *nie możesz być moją wróżką, bo ja jestem mężczyzną, a ty jesteś kobietą.* Mocno powiedziane. Nic dziwnego: Piotruś śpi w jednym łóżku z dużą liczbą chłopców, Dzwoneczek dąsa się za kurtynką, a Wendy opiekuje się najmłodszym dzieckiem i bawi się ze swoim ukochanym w starą żonę, od której mąż nie chce niczego prócz spokoju.

Znacznie ciekawsi są faceci.

Piotruś, *chłopiec niepodobny do innych chłopców*, jest nie tylko odporny na wdzięk kobiet i absolutnie fascynujący dla mężczyzn, którzy patrzą w niego jak w obraz; jest również *najlepszym tancerzem* i miłośnikiem gry na fujarce. *Dostępne mu były niezliczone*

rozkosze, o których inne dzieci nie będą nigdy wiedziały, ale od jednej radości *miał być na zawsze odcięty*: od radości życia rodzinnego. To między facetami tu iskrzy – a najbardziej między Piotrusiem a kapitanem Hakiem.

Hak przewodzi grupie supermęskich, ale uległych mu piratów, których Barrie opisuje dokładnie i bardzo zmysłowo, choć zwykle mało miejsca poświęca wyglądowi bohaterów: *idzie pirat o potężnych, nagich ramionach. W uszach ma złote dukaty jako ozdoby. Jest to piękny Włoch Cecco [...], kroczący za nim czarny olbrzym miał już wiele imion [...]. Dalej idzie Bill Jukes, którego całe ciało pokryte jest tatuażem [...], a potem idzie Twardy Hrabia, który kiedyś był nauczycielem manier na pensji, więc nadal jeszcze zachowuje wiele wdzięku.* I żeby było zabawniej, wszystkich ich razem porównuje do *ciemnego naszyjnika*, w którym Hak to *najczarniejszy i największy klejnot.* Sam kapitan, ubrany w staromodny strój, ma *przystojne oblicze* i oczy o *błękicie niezapominajek*, w których *był wyraz głębokiej* melancholii; patrzyły *miękko jak oczy ślimaka.* Ukończył znakomitą szkołę – zapewne Eton – najważniejsze dla niego są dobre maniery i nienaganny (acz przesadny) strój, używa cygarniczki, *kocha kwiaty i słodką muzykę*, ba, grywa na klawikordzie! Wiadomo, że haka używa do układania fryzury i – Barrie pisze to wprost – ma *coś kobiecego* w swojej *ponurej naturze*. Hak to stara, rozpustna ciota, usiłująca za wszelką cenę umknąć czasowi (krokodylowi, który połknął budzik) i czyhająca na ślicznego chłopca, nazywającego samego siebie *„radością i młodością".* W największej rozpaczy mówi: *Ani jedno małe dziecko mnie nie kocha!* Kapitan – i to też Barrie pisze wprost – *pragnął* Piotrusia, którego pewność siebie sprawiała, że żelazny hak Haka *dygotał.* Takich fallicznych aluzji jest tu zresztą mnóstwo. Piraci strzelają do chłopców z wielkiej armaty, *Długiego Tomasza*, a jeden z nich chce *połaskotać* chłopca swoim *Jasiem Korkociągiem.*

Piotruś spotyka się z Hakiem oko w oko trzykrotnie i zawsze są to spotkania co najmniej niepokojące cielesną bliskością

i zmysłowością. Za pierwszym razem wdrapują się razem na skałę; *szukając uchwytu, ręce ich spotkały się. Zdumieni unieśli głowy. Twarze ich niemal stykały się.* Piotruś *obnaża swe śliczne ząbki* i podaje rękę kapitanowi, który... no właśnie. Gryzie go i znika zaraz, ścigany przez krokodyla. Za drugim razem Hak zakrada się do pustego Domu Chłopców i przyłapuje Piotrusia... no, cóż, powiedzmy to sobie jasno: w łóżku. I znów Piotruś opisany jest dokładnie, ze szczególnym uwzględnieniem zębów: *a niedokończony uśmiech pozostał na uchylonych ustach, ukazując małe perełki.* Zęby to chyba fetysz Haka i – być może – Barriego.

Wreszcie spotykają się w zaciekłej walce na okręcie, kiedy to *pyszny i zuchwały młokos* doprowadza do zguby *posępnego i grzesznego człowieka* – ale Hak odnosi, w jakimś sensie, zwycięstwo. Nie dlatego, że do ostatniej chwili trzyma fason i nienaganny strój, nie dlatego, że skłania Piotrusia, by zamiast sztyletem strącił go w paszczę krokodyla kopniakiem (dzięki czemu mógł krzyknąć drwiąco: *złe maniery!*), ale dlatego, że młodzieniec, który go zabił, pierwszą noc spędza w kabinie kapitana, przebrany w jego – przerobiony nieco – strój, trzymając w ustach jego cygarniczkę i zginając palec na podobieństwo haka. Piękny i młody Piotruś zmieni się nieodwołalnie w straszną starą ciotę – i to właśnie, a nie sentymentalna końcówka, jest prawdziwym zakończeniem książki Barriego. Ale mało kto to dostrzega.

A ręce matki (oburzającej się na Biedronia i jego pingwiny) / *Ręce tak czyste / Kładą to ufnie / W szkolny tornister.*

WP 2010

EGZEMPLARZE ZBĘDNE

Niewiele mam talentów do prac domowych – prasuję fatalnie, sprzątam kiepsko; owszem, przyszyję guzik i wywiercę dziurę w ścianie, a jak trzeba, to nawet wytapiceruję krzesło, ale mistrzostwa nigdy w tym nie osiągnę. W jednym tylko naprawdę się sprawdzam: w pakowaniu przeprowadzkowym. Potrafię do jednego małego kartonu zmieścić zawartość sześciu szafek kuchennych, mając do dyspozycji jedną starą gazetę i strzępek folii bąbelkowej, i dosłużyłem się medalu z ziemniaka pierwszej klasy za wyszukiwanie wolnych przestrzeni, w które da się zapakować kieliszek do jajka albo szklaną durnostojkę.

Pakowanie jest czynnością towarzyską, w pojedynkę bowiem człowiek nie poradzi sobie z dojmującym poczuciem bezsensowności tej pracy. Jeżeli po załadowaniu dziesięciu, piętnastu, dwudziestu kartonów kuchnia czy biblioteka wyglądają na mniej więcej tak samo pełne jak przedtem, a pakuje się samotnie – to nic, tylko usiąść i zapłakać. Pół roku temu pomagałem przeprowadzić dom rodzinny ; w środku roboty mama zwichnęła kolano, ojciec oddelegował się głównie do prac w nowym domu, brat spędzał całe dnie w biurze i zostałem sam na sam ze zbieranymi przez trzydzieści lat gratami; uporałem się z największą na świecie kolekcją lekko wyszczerbionych imbryczków, skłoniłem też rodzinę do wyrzucenia grzankownika prod. bułg. z 1987 r. Po czterech dniach uświadomiłem sobie, że działający przez dwie godziny włamywacz nie ma żadnych szans; w dziale „wartość" – ostatecznie; w dziale „masa" jest na

straconej pozycji. W momencie najgłębszej beznadziei pomyślałem, że w końcu sam się wsadzę do pudła i okleję taśmą od środka.

Kluczem do sukcesu jest bowiem praca w towarzystwie: w grupie jakoś łatwiej przejść do porządku nad niedolami i frustracjami przeprowadzkowymi – ot, ładuje się kolejne pudła, prowadząc konwersację na tematy ogólne. Na przykład: na temat wyrzucania. Pakując z G. kolejne piramidy talerzy i filiżanek i zastanawiając się, czy nie warto pozbyć się puszki zwietrzałej herbaty, odkryliśmy, że oboje cierpimy na syndrom etiopski. W dzieciństwie, ilekroć nie chcieliśmy dojeść obiadu czy śniadania, słyszeliśmy, że dzieci w Etiopii mają brzuszki wzdęte z głodu i dlatego dojeść trzeba. Szantaż etyczny w służbie żywienia wciąż działa, po wielu latach: do dziś nie wyrzucam czerstwego chleba (chyba że zupełnie spleśnieje), martwię się, że kupiłem o jeden jogurt za dużo i teraz, nie daj Boże, będę musiał któryś wyrzucić, a także nie traktuję zbyt poważnie terminów ważności do spożycia – bo cały czas mam przed oczami niemą skargę wielkich głodnych oczu i wzdętych brzuszków. Tabu wyrzucania rozciąga się również na parę innych rzeczy poza jedzeniem, najbardziej zaś – na książki. Lekką ręką pozbywam się gazet; z kolorowymi tygodnikami i broszurami krajoznawczymi jest ciężej, książka całkowicie mnie paraliżuje.

Tymczasem „z – jak to się okrągłą frazą ujmuje – racji wykonywanego zawodu" trafia do mnie mnóstwo dzieł, z którymi naprawdę nie mam co zrobić. A przecież – również „z racji wykonywanego zawodu", ale i z czytelniczego nawyku i autentycznej potrzeby oprócz tego cały czas zapełniam ostatnie resztki wolnego miejsca na regałach coraz to nowymi tomami, tak że powoli zastanawiamy się z P. (który też literaturę, piękną i fachową, kupuje i magazynuje nieustannie) nad wprowadzeniem żelaznej zasady: *każda nowa książka na półce to jedna książka do oddania albo wystawienia na Allegro.* Certolę się: ledwie kupiłem, już z żalem odkładam coś na stosik: „państwu już dziękujemy".

A równocześnie wiem przecież, że na nasze półki płyną stałym strumieniem zupełnie nieproszeni goście.

Trzy lata „Łossskotu" to przynajmniej cztery do ośmiu pozycji miesięcznie – niewielką część zatrzymywałem, część oddawałem znajomym, ale zostawało sporo. Miłe wydawnictwa i mili autorzy posyłają sami z siebie egzemplarze recenzenckie – i znowu: niewielka część z tego nadaje się do zostawienia i sięgania w przyszłości, większość to półkowe zawalidrogi. Niemal każde spotkanie z czytelnikami w bibliotece czy ośrodku kultury to kolejna kupka publikacji o danym mieście czy regionie, o lokalnej przyrodzie, *opera omnia* miejscowego barda, tomik wierszy pani zaprzyjaźnionej z biblioteką i tak dalej, i tak dalej... Owszem, trafiają się perełki, na które w przeciwnym razie pewnie nigdy bym nie trafił, ale większość z tego to dzieła, których najchętniej od razu bym się pozbył. Stoję nad hotelowym koszem na śmieci z tomem *Harfy wiosenne. Antologia najnowszej podkarpackiej poezji muzycznej 1960–1985*, z pracą naukową o wpływie zanieczyszczenia środowiska na populację dudków (autor wypisał dedykację), z broszurą *Skansen w Piprzydłówku Dolnym – ważniejsze budowle* – jak ta Nike, która się waha. Waham się, waham – i nic. Pakuję do walizki i wiozę do domu.

I żeby jeszcze chodziło o wzdęty brzuszek i głodne oczy – ale nie, ten szantaż emocjonalny nie ma nawet rysu ludzkiego, to jakiś ogólny, bliżej nieokreślony lęk przed Matką Kulturą, której poleją się zaraz łzy czyste, rzęsiste, jeśli plik zadrukowanego papieru trafi do kosza.

Można oczywiście – tak mnie uczono w dzieciństwie – zanieść książki do biblioteki; problem w tym, że biblioteka też nie ma nieograniczonej powierzchni magazynowej i albo (w osobie pani bibliotekarki) pokręci nosem i zrezygnuje, albo przyjmie i zaraz wyrzuci.

Wziąłem się więc jakiś czas temu na sposób i co jakiś czas wrzucam na Facebook albo na zaprzyjaźniony portal poetycki

anons: „Oddam książki, z którymi nie chcę już mieszkać", i do nieciekawej masy dodaję na ogół, jako przynętę, jakiś literacki rodzynek. I jak w starym dowcipie o tej babuleńce, którą mąż zobowiązał, żeby po jego śmierci sprzedała krowę i za to dała na mszę za jego duszę, i która w związku z tym sprzedawała krowę za grosz, ale tylko w pakiecie ze szczurem za talara, tak i ja liczę, że dzięki oddawaniu pakietowemu zrzucę z siebie odpowiedzialność za zbędne egzemplarze. Niechże ten, który się zgłosi i zostanie obdarowany, zadecyduje sam; niech to on podejmie tę gorszącą decyzję i ciśnie do kosza *Strofy o grodzie nad Słupią* czy tomik *Demony i święci, czyli czarna rapsodia duszy*.

Ale w gruncie rzeczy wiem, że to tylko hipokryzja, a nie wyjście honorowe. I kiedyś stanę na Sądzie Ostatecznym przed Matką Kulturą, która przytłoczy mnie całkowicie poczuciem winy, wypominając mi każdą z tych książek, co do jednej. A wszystkie one staną przede mną i będą patrzyły wielkimi, głodnymi oczami. Z wyrzutem.

WP 2010

„Nie wierzysz, że to wszystko? Masz rację!
To był darmowy fragment zbioru kilkudziesięciu felietonów.
Jeśli chcesz się uśmiać, wzruszyć,
oburzyć i przeczytać wszystkie,
zapraszamy do nas:"

www.heca.art

Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca